

Karl Adam

KARL ADAM, *Jezus Chrystus*, Warszawa - Ząbki 2006, 122-137.

O Jezusie nigdy żeśmy nie słyszeli, żeby był dotknięty jakąkolwiek słabością ciała. Wszystkie Jego cierpienia fizyczne wypływały z obowiązku samozaparcia i ofiary, jakie włożyło Mu na barki posłannictwo mesjańskie, jego ciało musiało być bardzo odporne na trud i zmęczenie, wskazuje na to Jego przyzwyczajenie oddawania się pracy już od wczesnego ranka: „Nad ranem, gdy jeszcze było ciemno, wstał, wyszedł i udał się na miejsce pustynne, i tam się modlił” (Mk 1,35); „Z nastaniem dnia przywołał swoich uczniów i wybrał spośród nich dwunastu” (Łk 6,13). Jego zdrowy, świeży, nieużyty umysł objawiał się także w szczerym entuzjazmie wobec piękna przyrody. Jezus w szczególny sposób lubił góry i morze. Po nużącej pracy całego dnia chętnie wstępował na samotne wzgórze albo późnym wieczorem płynął po połyskliwej tafli jeziora Genezaret, pogrążając się coraz bardziej w ciszy nocnej (Mk 4,35; 6,32). Wiemy, że całe Jego publiczne życie było życiem wędrownym, przebieganiem wzdłuż i wszerz dolin górskich własnej, ziemskiej ojczyzny, nieustanną podróżą od Galilei do Samarii i Judei, a nawet w okolice Tyru i Sydonu (Mt 15,21). Jezus odbywał te wędrówki najprymitywniej wyekwipowany, jak to i apostołom swym zalecał: „Nie bierzcie nic na drogę: ani laski, ani torby podróżnej, ani chleba, ani pieniędzy” (Łk 9,3), z tego powodu Jego towarzyszami często musiały być głód i pragnienie. Słusznie wskazuje się na to, że także ostatnia Jego podróż, odbyta w podobnych warunkach z Jerycha do Jerozolimy, budzić musi słuszny podziw dla Jego wytrzymałości i hartu¹. Nie bacząc na straszliwy skwar, musiał On w sześciogodzinnym marszu wdzierać się na zalane słońcem, najeżone skalistymi zwałami, wzniesione powyżej tysiąca metrów ponad poziom morza wzgórze, i co najdziwniejsze - nie czuł się zmęczonym i jeszcze tego samego wieczoru wziął udział w uczcie, którą mu przygotował Łazarz wraz ze swymi siostrami (J 12,2). Znaczniejsza część publicznego życia Jezusa nie upływała bynajmniej w zaciszu domowym, lecz na łonie przyrody, z narażeniem na częste zmiany temperatury i pogody. Wiemy, że zarówno miejsce Jego narodzenia, jak i śmierci znajdowało się z dala od ludzkich osiedli. Od stajenki betlejemskiej aż do Golgoty prowadził Jezus żywot bardziej ubogi i bezdomny niż ptaki w gniazdach i lisy w norach. Jeśli już

¹ O. BOCHERT, *Jesus. Wer war Er? Ein Wort der Aufklärung für jedermann*, Braunschweig 1929 s. 17; por. F.M. WILLIAM, *Das Leben Jesu im Lande und Volke Israel*, Freiburg im Breisgau 1934, s. 215.

wstępował do mieszkań ludzkich, to były to mieszkania Jego przyjaciół i znajomych. On sam nie miał miejsca, gdzie mógłby oprzeć głowę (Mt 8,20). Niewątpliwie setki razy zdarzyło się, że nocował pod gołym niebem, i to prawdopodobnie było powodem, że tak Mu były bliskie polne lilie i ptaki niebieskie. Tego rodzaju niewygody mogło znieść bez szwanku tylko ciało tryskające zdrowiem.

Wędrowne życie Jezusa wypełnione było niezmiernie ciężką pracą i trudem, i, jak to ustawicznie podkreśla ewangelista Marek, nie miał on czasu na posiłek (3,20; 6,31). Do późnego wieczora schodzili się do Jezusa chorzy (Mk 3,8), a razem z nimi bardzo często przybywali Jego złośliwi przeciwnicy - faryzeusze i saduceusze. Wówczas to krzyżowały się ze sobą ostre zdania i cięte wyrazy. Słowa, a z nimi duchy wzmagaly się w nieustępliwym boju podnieconych dysput. Trzeba tu dodać jeszcze pracę Jezusa nad oświecaniem Jego własnych uczniów, a było to rzeczywiście trudne zadanie, tak ze względu na tępotę ich umysłów, jak i na nieprzewyciężony egoizm. Przy tylu uciążliwych obowiązkach chory, względnie wątły organizm niechybnie by się załamał i w niedługim czasie odmówił posłuszeństwa. Jezus nigdy nikomu w niczym nie odmawiał, a będąc nawet w najbardziej drażliwym czy też niebezpiecznym położeniu, nie tracił równowagi ducha. Raz, podczas burzy szalejącej nad jeziorem Genezaret, spał spokojnie bez przerwy, dopóki Go uczniowie nie obudzili, a wówczas On, ocknąwszy się z głębokiego snu, od razu zorientował się w sytuacji i opanował ją z całą przytomnością umysłu. Widzimy z tego, jak obcy był Jezusowi gorączkowy pośpiech, wszelkie podniecenie, jak silnie zrównoważone było Jego życie uczuciowe, a stąd znowu wyciągamy wniosek, że rozporządzał On kwitającym zdrowiem.

Czy w tym zdrowym ciele mieszkała również zdrowa dusza? To pytanie musi być koniecznie postawione.

Nadzwyczajność wystąpienia Jezusa na widowni dziejów, słowa, których nikt przed Nim nie wypowiadał i przypisywane sobie przez Niego atrybuty, wszystko to sprawiło, że ludzie przeciętni, codzienni, ludzie niedorośli do zrozumienia rzeczy nadzwyczajnych, heroiczych, przywykli do sprowadzania wszystkiego do poziomu ogólnoludzkiego, ale właśnie nie więcej, jak tylko ludzkiego - ci ludzie zostali zaskoczeni ukazaniem się Jezusa, a nie mogąc zrozumieć Jego przedziwnych słów i czynów, zaczęli doszukiwać się w Nim anomalii psychicznych. Ci, którzy jako pierwsi przeciwko Niemu zbluźnili, mówiąc, że „oszalał”, byli to Jego krewni (Mk 3,21), zaś Jego przeciwnicy, faryzeusze, którzy w skrytości ducha to samo o Nim myśleli, nie omieszkali rozgłosić, że Jezus nosi w sobie złego ducha (Mt 12,24). Ta opinia o Jego chorobie psychicznej i działającym przez Niego złym duchu jest

rozpowszechniana odtąd poprzez stulecia, a w najnowszych czasach została skwapliwie podchwycona przez ludzi, którzy chcieliby w ten tak samo prosty, jak i brutalny sposób uprzętać ze świata całą zagadkę Jezusową. Już z wymienionych tutaj powodów widać potrzebę ustalenia możliwie najdokładniejszej charakterystyki Jezusa. Jeżeli uda nam się wiernie uchwycić kontur Jego psychiki, odkryć jej dominującą cechę, to będziemy mogli dać odpowiedź na pytanie, czy obraz Jezusa ma w sobie coś patologicznego, czy też posuwa się w kierunku najwyższych, niezrównanych wartości boskiego Absolutu.

Stawiamy zatem następujące pytania: jakie było duchowe oblicze Pana Jezusa? Jaki On był w życiu zwykłym, codziennym? Jak sobie wyobrażamy Jego czysto ludzką strukturę psychiczną? Ewangelisci udzielają nam w tym względzie zgodnych informacji. Co ich przede wszystkim uderza w ludzkim charakterze Jezusa, to niebywała wyrazistość celu w Jego myśleniu i wypływająca stąd energia, intensywność Jego woli. Kto by chciał się pokusić o rzecz niemożliwą, o sformułowanie ścisłej definicji psychiki Jezusa, ten naturalnie musiałby wymienić ową męską tężyznę ducha, z jaką Jezus traktował, jako swój obowiązek, wolę Ojca, afirmował ją aż do ostatecznych granic i wypełnił aż do przelania własnej krwi. W samym Jego sposobie mówienia, w stale przez Niego powtarzanych zwrotach: „Jam przyszedł”, „Nie przyszedłem, by...”, widoczne jest to świadome celu, zdecydowane, mocne „tak” i „nie” Jego życia: „Nie sądzicie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz” (Mt 10,34); „Bo nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników” (Mt 9,13); „Albowiem Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło” (Łk 19,10); „Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służono, lecz żeby służyć i dać swoje życie na okup za wielu” (Mk 10,45; por. Mt 20,28); „Nie sądzicie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić” (Mt 5,17); „Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął” (Łk 12,49). Jezus od początku ma przed sobą wyraźny cel i konsekwentnie do tego celu dąży. Już jako dwunastoletni młodzieniec podczas sceny, jaka miała miejsce w świątyni jerozolimskiej, podaje jasno i wyraźnie program całego swojego życia: „Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?” (Łk 2,49). Trzykrotne kuszenie Jezusa na pustyni z punktu widzenia psychologii jest zwycięską walką przeciw szatańskim zamierzeniom, by Zbawiciel użył swej mesjańskiej władzy ku chwale własnej, dla celów egoistycznych, zamiast dla budowy Królestwa Bożego. Mamy tu wprost namacalny dowód na to, jak zaraz w początkach swej publicznej działalności Jezus wyraźnie widzi nową drogę, jak pewnie i zdecydowanie po niej kroczy, po tej drodze poświęcenia i ofiary, by spełnić wolę swego Ojca Niebieskiego. Później nie sami tylko

wrogowie próbowali namówić Go do odstępstwa. Przynajmniej w trzech fragmentach Pisma świętego widnieją ślady zakusów ze strony Jego najbliższego otoczenia, by Go z tej raz na zawsze wytkniętej drogi sprowadzić. Już w Kafarnaum taka chęć była obecna w ukrytym sprzeciwie Jego zwolenników (Mk 3,21), a uzewnętrzniła się w formie wyraźnego protestu Piotra pod Cezareą Filipową: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie” (Mt 16,22). Na tym tle doszło nawet do masowej apostazji wśród uczniów Jezusa, zwłaszcza gdy zaczął mówić o spożywaniu swego Ciała i piciu swej Krwi (J 6,48-58): „Odtąd wielu uczniów Jego się wycofało i już z Nim nie chodziło” (J 6,66). Ale Jezus ani na krok nie zboczył ze swej drogi, zdecydowany iść po niej samotnie, jeżeli będzie taka potrzeba. W tym punkcie nie miał On dla apostołów ani jednego słowa pociechy, tylko ostre, zwięzłe pytanie: „Czyż i wy chcecie odejść?” (J 6,67).

Taki jest Jezus: Mąż świątłych zamierzeń i celowych poczynań. W całym Jego publicznym życiu nie widać ani jednego momentu, w którym by się wahał, namyślał niezdecydowanie albo chciał cofnąć którekolwiek ze swych słów czy poczynań; takiej samej stanowczości i celowego działania domagał się od swych apostołów: „Ktokolwiek przykłada rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego” (Łk 9,62); kto buduje wieżę, ten najpierw siadłszy, oblicza wydatki (Łk 14,28); a król, który ma stoczyć wojnę z drugim królem, najpierw liczy swoje wojska (Łk 14,31). Jest to Jego własny, osobisty program, do którego zaprawia swoich uczniów. Nierozważne, zbyt pospieszne działanie, niepewna chwiejność, wszelkie układy i kompromisy - wszystko to nie odpowiada usposobieniu Jezusa; całe Jego życie i postępowanie wyraża się w krótkim „tak” i „nie”. Jezus jest zawsze sobą całym, zawsze gotowym do czynu, bo On nigdy nie mówi i nie postępuje inaczej, jak tylko z całą jasną świadomością i całą pełną, mocną wolą swego życia. Dlatego to Jezus, On sam jedynie, mógł ważyć się na imperatyw: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi” (Mt 5,37). Jego istota i życie stanowią bezwzględna, zwartą jedność, odznaczają się przejrzystością, zasadniczą wyrazistością i prawdą. A tyle w nich jest szczerości i prostoty, taka z nich bije siła, że imponowało to nawet wrogom Jezusa: „Nauczycielu, wiemy, że jesteś prawdomówny i na nikim Ci nie zależy” (Mk 12,14). Tutaj w tej jedności, czystości jaźni, w tym promieniowaniu z niej światła mieści się punkt psychologiczny, który tłumaczy Jego życiową walkę z faryzeuszami, owymi pobielanymi grobami, przedstawicielami wszystkiego, co fałszywe, nieścisle, płytkie i poprzekręcane w życiu i religii, tutaj także znajduje się początek drogi, która Go zawiodła bezpośrednio na krzyż. Prawość i szczerość w postępowaniu Jezusa, Jego wytrwałość w służbie Ojcu przesądziły o

Jego tragicznym przeznaczeniu. Jezus jest człowiekiem o charakterze na wskroś bohaterskim, jest On uosobieniem heroizmu i od swoich apostołów wymaga, by w obronie uznanej prawdy byli tak samo odważni, by stawiali na szali swe życie. Bohaterskość jest dla Jezusa czymś absolutnie oczywistym: bogatemu młodzieńcowi, który przestrzega wszystkich przykazań, zdaniem Jezusa, jednego tylko jeszcze brakuje - by sprzedał wszystko, co ma, poszedł za Nim i naśladował Go (Mk 10,21). Prawdziwy uczeń Jezusowy winien być tak odważny, tak niezachwiany w swoich postanowieniach, że wszelka zwłoka, choćby spowodowana koniecznością pogrzebania własnego ojca, ma być dla niego niedopuszczalna: „Pójdź za Mną, a zostaw umarłym grzebanie ich umarłych!” (Mt 8, 22; por. Łk 9, 60). Mniejsza o umarłych, tu chodzi o żyjących. Tylko taki uczeń Jezusa godny jest tej nazwy, który „nienawidzi” (tj. według aramejskiego sposobu mówienia - opuszcza) swego ojca i matkę, swoją żonę i dzieci, braci i siostry, nawet życie własne, gotów wyrzec się tego wszystkiego, by naśladować Jezusa (Łk 14,26; Mt 19,29; Mk 10,29). Taka energia, sprężystość i zwarta, skoncentrowana wola, zwrócona ku zamierzonemu celowi, taka uosobiona inicjatywa czynią z Jezusa urodzonego przywódcę tłumów. Wzywa On Szymona i Andrzeja, a ci natychmiast porzucają swe sieci (Mk 1,16-18).

Na Jego wezwanie Jakub i Jan zostawiają swego ojca z najemnikami w łodzi i idą za Nim (Mk 1,20). On wygania handlujących z przedsionka świątyni i nikt nie śmie Mu się przeciwstawić. Posiada On naturę pana i władcy, a postawę królewską. Czują to apostołowie, stąd ich pełne lęku uszanowanie wobec Mistrza i mocne poczucie dystansu pomiędzy Nim a nimi, poczucie, które ich onieśmiela. Ewangelisci ustawicznie podkreślają, jak to apostołowie zdumiewają się nad mową Jezusa, jak ich przerażają niektóre Jego wystąpienia i czyny (Mt 9,8; Mk 4,41; 6,50; 10,24.26) i jak nie śmia do Niego przemówić (Mk 9,32). Ewangelista Marek jakże znamienymi słowami maluje początek ostatniej podróży Jezusa do Jerozolimy: „Jezus wyprzedzał ich, tak że się dziwili; ci zaś, którzy szli za Nim, byli strwożeni” (10, 32). To uczucie lęku trzymało też ludzi w pewnym oddaleniu od Jezusa: „I zatrwożyli się”. Strach był pierwszym, najprymitywniejszym uczuciem, które w nich wzbudziła Osoba Jezusa (Mk 5,15. 33. 42; 9, 15). On nie był do nich podobny, nie był jednym z nich, nie był też podobny do ich dotychczasowych przywódców - biegłych w Piśmie, ani do faryzeuszy; Jego postępowanie znamionowało kogoś, kto posiada pełnomocnictwo udzielone Mu z góry. Wrażenie potęgi i wyższości w postawie Jezusa było tak silne, że ludzie przywodzili sobie na pamięć najpotężniejsze osobistości z przeszłości, żeby je z Nim porównać. Dlatego pytali się: Czy jest

On Janem Chrzcicielem? Eliaszem? A może jest Jeremiaszem albo jakim innym prorokiem? (Mt 16,14).

Jezus dobrze znał tę istotną różnicę, jaka zachodziła między Nim samym a otaczającym Go ludem. Przekonamy się później, jak cenna była dla Niego świadomość tej różnicy i jak dalece całe Jego życie i sama śmierć czerpały z tej świadomości impuls i treść, i żar, i siłę. Jezus wiedział, że nie jest takim, jak wszyscy inni ludzie na świecie, toteż umiłował samotność. Ilekroć przebywał z ludźmi, nauczał ich i błogosławił, tylekroć zaraz potem w odosobnieniu udawał się w samotne miejsce lub na ciche wzgórze: „Zaraz też przynaglił uczniów, żeby wsiedli do łodzi i wyprzedzili Go na drugi brzeg, zanim odprawi tłumy. Gdy to uczynił, wyszedł sam jeden na górę, aby się modlić [...] sam tam przebywał” (Mt 14,22-23). Była to - o czym zresztą jeszcze będzie mowa - samotność *in sinu Patris* (na łonie Ojca), a więc sam na sam z Ojcem, ale było to także odosobnienie się od ludzi, milczenie wzbierających sił - milczenie, z którego, jakby z głębi utajonego źródła, wytryskały wody życia.

Tak intensywnie zogniskowana i opanowana wola, tak skondensowana siła duchowa musiały prawem konieczności psychologicznej wyładowywać się również na zewnątrz w mocnym słowie i śmiałym czynie, kiedy złośliwe, wrogie Jezusowi moce sprzysięgły się przeciwko Niemu. W takich przypadkach Jezus mógł się łatwo rozgniewać, jak niegdyś niejeden prorok starotestamentowy: Ozeasz, Jeremiasz albo Mojżesz, który rzucił o ziemię swe tablice Prawa. Jeśli chce się Jezusa poznać, to i takie rzeczy trzeba o Nim wiedzieć. W Jezusie żyła nie tylko ujarzmiona moc, nie tylko powściągnięta wola, ale płonął w Nim także ogień świętej namiętności. Rozważmy tylko Jego słowa i czyny pod kątem ich emocjonalnej treści. „Idź precz, szatanie!” - tymi słowy odgania od siebie kuszącą Go zmorę (Mt 4,10); „Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą” gromi Piotra, gdy ten próbuje Go odwieść od postanowionej męki. (Mt 16,23); „Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode Mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości!” (Mt 7,23) - tak odprawi tych, którzy swym potrzebującym braciom na ziemi nie uczynili nic dobrego. Nie widać tu cichej, łagodnej powściągliwości duszy, tu jest dynamika, tu pulsuje żywiołowe, niepowstrzymane uczucie. Tą dynamiką afektu naładowane są także Jego liczne przypowieści - huczą w nich pioruny gniewu i drgają błyskawice groźby. Taką jest np. przypowieść o pszenicy i chwacie: „Syn Człowieczy pośle aniołów swoich: ci zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorszenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzucą ich w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” (Mt 13,41-42). Podobny jest ton przypowieści o sieci rybackiej: „Wyjdą aniołowie, wyłączą złych spośród sprawiedliwych i wrzucą w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” (Mt 13,49-

50). Takim samym gniewnym wyrokiem zakończone są przypowieści o dziesięciu pannach, o talentach, o owcach i kozłach (Mt 25,1-13; 25,14-30.32-33). W przypowieści o niegodziwym słudze „rozniewany” król każe wydać go katom, dopóki nie odda całego swego długu (Mt 18,34). I w czasie uczty weselnej syna królewskiego król „unosi, się gniewem”, posyła swe wojsko, każe morderców swych sług uśmiercić, a miasto ich spalić. A kiedy później spotyka na sali weselnej jakiegoś człowieka nieubranego w strój weselny, rozdrażniony wielce, nakazuje sługom: „Zwiążcie mu ręce i nogi i wyrzucicie go na zewnątrz, w ciemności! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” (Mt 22,13). W przypowieści o dobrym i złym rządcy pan domu wraca niespodziewanie i rozkazuje niesumiennego włodarza ćwiartować i wyznaczyć mu los razem z niewiernymi (Łk 12,46). Nie ulega wątpliwości: świat uczuć i nastrojów, z którego zrodziły się te przypowieści, pełen jest gwałtownej dynamiki - ani śladu w nich sentymentalnej miękkości. A cóż mówić dopiero dysputach Jezusa z faryzeuszami i uczonymi w Piśmie, o Jego wyrokach potępienia rzuconych na tę wynoszącą się nad inne kastę, na owych nauczycieli Izraela! Z ust Jezusa naprawdę buchają płomienie oburzenia: „Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy! [...] Przewodnicy ślepi, którzy precedzacie komara, a połykacie wielbłąda! Biada wam, uczeni w Piśmie faryzeusze, obłudnicy! Bo dbacie o czystość zewnętrznej strony kubka i misy, a wewnątrz pełne są one zdzierstwa i niepowściągliwości” (Mt 23,23-25). Niepodobna tu sobie Jezusa wyobrazić inaczej, jak z roziskrzonymi oczyma i pałającym obliczem. Tą samą zapalczewością i żarem Jego życia emocjonalnego tchnie niejedyn z Jego czynów, a przede wszystkim wypędzenie kupców ze świątyni, które miało miejsce na krótko przed Jego męką. „Wszedłszy do świątyni, zaczął wyrzucać tych, którzy sprzedawali i kupowali [...] powywracał stoły zmieniających pieniądze i ławki tych, którzy sprzedawali gołębice, i nie pozwolił, żeby kto przeniósł sprzęt jaki przez świątynię” (Mk 11,15-16). Takim samym uczynkiem Jezusa, dokonany w gniewnym uniesieniu, było rzucenie klątwy na drzewo figowe za to, że nie rodziło owoców, „gdyż nie był to czas na figi” (Mk 11,13). W obu przypadkach podniecenie Jezusa przybiera takie formy, które mogłyby zrazić obiektywnego widza. Kupcy w świątyni mieli słuszość po swojej stronie, ponieważ prawo do sprzedaży w jej przedsionku otrzymali od Annasza, za wiedzą i pozwoleniem zwierzchności; i drzewo figowe nie było temu winne, że poprzedniej wiosny nie nosiło jeszcze owoców. Toteż w związku z tymi dwoma wydarzeniami rozeszła się wieść o nadmiernej emocjonalności Jezusa, o depresji graniczącej z maniactwem, która miała wskazywać na anormalny stan Jego psychiki.

Może tak mówić ten, kto nie bierze pod uwagę osobliwych właściwości tradycji ewangelicznej, mianowicie tego, że ona opiera życie Jezusa wyłącznie na Jego prorocko-

mesjańskiej postawie i tylko na takim tle je widzi. Ewangelistom chodziło o mesjańską wyjątkowość ich Mistrza, o dokładne uwypuklenie w Jego życiu tego wszystkiego, co niezbicie świadczy o tym, że On jest Panem wszystkich proroków, że jest Mesjaszem. Jego system prorokowania uważali za jedynie słuszny, a rodzaj Jego mesjanizmu, za jedynie autentyczny. W niezrozumiałym dla otoczenia, pozornie paradoksalnym postępowaniu tkwiła zapowiedź czegoś nowego, całkowicie innego, niemieszczącego się w ramach dotychczasowych pojęć, zapowiedź jakiejś rewolucji w prorocko-mesjańskim posłannictwie. Paradoksalność postępowania musiała zwrócić uwagę ogółu na proroka i jego działalność burzącą dotychczasowe pojęcia - dlatego to ewangelisci w szczególny sposób interesują się oczyszczeniem świątyni z kupców i wiadomość o tym wydarzeniu powtarzają kilkakrotnie (Mt 21,1.2-13; Mk 11,15-16; Łk 1.9,45-46; J 2,14-16), a św. Marek, mówiąc o rzucaniu klątwy na drzewo figowe, nie omieszkiał nadmienić, że „nie był to czas na figi” (Mk 11,1.3). Oryginalność postępowania Jezusa była dla nich czymś nadzwyczajnym i odsłoniła przed ich oczyma Mesjasza. W bezwzględnym, pozornie niesłusznym wypędzeniu handlujących z przedsionka świątyni ewangelisci widzieli znak uroczystej, druzgocącej wszystkie ludzkie pragnienia zapowiedzi rozpoczynającego się nowego oddawania czci Bogu w duchu i w prawdzie, nowej mesjańskiej świątyni, która miała stanąć na gruzach starej. I owo na pozór pozbawione sensu przekleństwo drzewa figowego - właśnie z racji jego twardej, niezrozumiałej ideologii - było w ich przekonaniu prorocko-symbolicznym wyrazem bliskich a groźnych następstw klątwy, która zawisła nad Izraelem, owym drzewem figowym, które zasadził Pan, a które w złych czy w dobrych czasach pozostawało bezpłodne. Oba wydarzenia znamionowały także koniec mesjańskiej działalności Jezusa i ukazywały nadchodzącą katastrofę: zmierzch Starego Przymierza i śmierć Mesjasza. Prorocko-mesjańskie tło, na którym w świetle nauki ewangelicznej rozgrywa się życie Jezusa, staje się tutaj tak uchwytnie i wyraziste, jak bodaj nigdzie więcej w Ewangeliach. Kto go nie dostrzega, ten siłą rzeczy musi Jezusa źle rozumieć.

Lecz jak jest pewne, że Jezus tutaj, w tym miejscu, postępuje właśnie tak, jak przystoi Mesjaszowi, i za Mesjasza chce być uważany, tak też, z drugiej strony, pewne jest, że On uważa samego siebie za Mesjasza gniewu Bożego, w rozumieniu starych proroków, a nie za jakiegoś sielankowego Mesjasza stąpającego po kwiatach i rozkoszującego się śpiewem ptaków i szmerem strumyka. Ewangelisci podają też i inne przypadki, w których ujawnia się „gniew” Chrystusa. I tak na przykład okazał On swym uczniom niezadowolenie, gdy nie chcieli dopuścić do Niego dzieci (Mk 10,14), oburzał się, gdy faryzeusze „z powodu zatwardziałości ich serca” powstawali przeciw zdrowemu rozsądkowi i osłaniali się przewrotnym milczeniem

(Mk 3,4-5). Zniechęcenie wewnętrzne, pogwałcone poczucie prawdy, obrażony zmysł etyczny - wyładowywały się u Jezusa w słowach mocnych, twardych i z ust Jego padały epitety: „obludnicy”, „węże”, „plemię żmijowe” (Mt 23,33); w takich przypadkach Jezus nie wahał się ani się nie obawiał swemu prawowitemu monarsze, królowi Herodowi, nadać miana „lisa” (Łk 13,32). Tam, gdzie chodziło o danie świadectwa prawdzie, nie był ani przebiegłym intrygantem, ani unizonym ugodowcem, była to natura impulsywna, wojownicza. A jednak w wirze najgorętszej utarczki słownej pozostawał On zawsze sobą samym, nie zapominał się i nie unosił ponad miarę. Jego wybuchy gniewu były zawsze wyrazem najwyższej swobody moralnej, czynem człowieka świadomego, że On przyszedł na świat po to, aby dać świadectwo prawdzie (J 1,8,37). Ponieważ Jezus był tak niewzruszenie wierny woli Ojca i sobie samemu, ponieważ był On po prostu uosobionym „tak” i „nie”, dlatego tak energicznie reagował na wszystko, co nie jest z Boga, co się Bogu sprzeciwia, nie zwracając uwagi na to, czy chodziło o skostniałą formułę teologiczną, czy też o słowo potężnego władcy. I historia życia Jezusa wykazała, że On w każdym momencie gotów był wypowiedzieć takie mocne, dobitne słowo z narażeniem własnego życia i dla zadokumentowania prawdy nie wahał się ponieść śmierci.